

Szczodrość syreny

Rodzaje ciszy

Po kolacji nikt nie kwapił się do wyjścia. Jakbyśmy sobie wyobrażali, że całe to smaczne żarcie Elaine poda nam jeszcze raz. Było kilka osób, z którymi trochę się poznaliśmy dzięki wolontariatowi Elaine – nikogo z mojej pracy, nikogo z agencji reklamowej. Siedzieliśmy w kółku, w salonie, i każdy miał opisać najgłośniejszy dźwięk, jaki zdarzyło mu się słyszeć. Ktoś wspomniał głos żony, kiedy powiedziała mu, że już go nie kocha i chce rozwodu. Ktoś inny – łomot własnego serca podczas zawału. Tia Jones została babcią w wieku trzydziestu siedmiu lat i miała nadzieję, że już nigdy nie usłyszy nic tak głośnego jak płacz wnuczki, którą trzymała na rękach szesnastoletnia córka. Mąż Tii, Ralph, przyznał, że uszy go bolą za każdym razem, gdy jego brat odzywa się przy ludziach, bo ma zespół Tourette'a i komentarze w rodzaju „Ja się onanizuję! Ładnie ci pachnie członek!” wymykają mu się ni stąd, ni zowąd w towarzystwie całkiem obcych osób w autobusie, w kinie, nawet w kościele.

Młody Chris Case nadał rozmowie inny bieg: rodzaje ciszy. Stwierdził, że najcichszą rzeczą, jaką kiedykolwiek słyszał, była mina, która w Afganistanie, na obrzeżach Kabulu, urwała mu prawą nogę.

Na temat innych rodzajów ciszy nikt nie miał nic do powiedzenia. Właściwie zapadła cisza. Nie wszyscy wiedzieli, że Chris stracił nogę. Owszem, kulał, ale lekko. Ja nawet nie zdawałem sobie sprawy, że walczył w Afganistanie.

– Mina? – upewniłem się.

– Tak jest. Mina.

– A możemy zobaczyć? – spytała Deirdre.

– Niestety, psze pani – odparł Chris. – Nie noszę przy sobie.

– Ale ja miałam na myśli nogę!

– Nogę mi urwało.

– Miałam na myśli tę część, która została!

– W porządku, pokażę – powiedział. – Ale będziesz ją musiała pocałować.

Szok, śmiech. Od razu się zgadało o najabsurdalniejszych rzeczach, jakie w życiu całowaliśmy. Nic ciekawego. Wszyscy tylko ludzi, w dodatku tylko tam, gdzie zawsze.

– No, dawaj. – Chris zachęcał Deirdre. – Obiekt tak wyjątkowy, że masz okazję wszystkich tu przelicytować.

– Nie, nie pocałuję twojej nogi!

Nikt nie dał po sobie poznać, ale chyba wszyscy byliśmy na nią trochę źli. Każdy chciał zobaczyć.

Tego wieczoru był też z nami Morton Sands i przez większość czasu udawało mu się zachować milczenie. Teraz się jednak odezwał:

– Jezu, Deirdre.

– Hm. No dobra – powiedziała.

Chris podciągnął mankiet prawej nogawki gdzieś do połowy uda i odczepił protezę, ustrojstwo z chromowanych prętów i plastikowych pasków, przypiętą do nienaruszonego kolana, po czym uniósł je, jak na jakimś makabrycznym łożysku, by okazać pomarszczoną końcówkę nogi. Deirdre uklękła przed nim na nagich kolanach, a on wysunął się do przodu – siedział na kanapie obok Ralpa Jonesa – tak, że poznaczony bliznami kikut znalazł się o kilka centymetrów od jej ust. Wtedy się rozpłakała. A nam wszystkim było głupio i trochę wstydu.

Jakąś minutę czekaliśmy, co będzie dalej.

Ciszę przerwał Ralph Jones:

– Chris, przypomniałem sobie, że kiedyś cię widziałem przed Aces Tavern, jak biłeś się z dwoma facetami naraz. Serio – Jones zwrócił się do reszty towarzystwa. – Wyszedł z nimi na dwór i obu nakopał do dupy.

– Pewnie mogłem im trochę odpuścić – przyznał Chris. – Uchlani byli.

– Naprawdę ich wtedy sponiewierałeś, Chris.

W kieszeni koszuli miałem kubańskie cygaro, prima sort. Zachciało mi się wyjść na dwór. Kolacja udała się nam jak mało kiedy, a ja miałem ochotę zwieńczyć ją miłym dymkiem. Ale korciło mnie, żeby zobaczyć,

co jeszcze się wydarzy. Jak często ma się okazję oglądać kobietę całującą kikut? Tylko że Jones wszystko popsuł gadaniem. Czar prysł. Chris wcisnął protezę na miejsce, dociągnął paski, opuścił nogawkę. Deirdre wstała, otarła oczy, wygładziła spódniczkę, usiadła i było po wszystkim. A rezultat całej sprawy był taki, że jakieś pół roku później, w gmachu sądu, w obecności niemal tej samej grupy przyjaciół i sędziego pokoju, Chris i Deirdre wzięli ślub. Owszem, są teraz małżeństwem. Ja wiem, i ty też wiesz, jak to się kręci.

Wspólnicy

Przypomniał mi się jeszcze inny rodzaj ciszy. Kilka lat temu poszliśmy z Elaine na kolację do Millera Thomasa, dyrektora agencji, w której pracowałem jeszcze na Manhattanie. Tak jest – on i jego żona Francesca też w końcu tu osiedli, ale znacznie później niż Elaine i ja – kiedyś był moim szefem, teraz jest emerytem w San Diego. Przy jedzeniu osusziliśmy dwie butelki wina, może trzy. Potem była brandy. A wcześniej, jeszcze zanim usiedliśmy do stołu, koktajle. Nie znaliśmy się zbyt dobrze, więc niewykluczone, że alkohol był po to, żeby o tym fakcie prędko zapomnieć. Po brandy ja zabrałem się za szkocką, a Miller za burbona, i chociaż na zewnątrz było na tyle ciepło, że działała klimatyzacja, stwierdził, że wieczór jest chłodny i trzeba napalić w kominku. Szpryca rozpałki, buch draski, i już płonęło,

trzaskając, całe naręcze drewniaków, do których dołożył kilka większych kawałków, jak to określił, dobrze wysuszonego dębu.

– Kapitalista w swojej kuźni – podsumowała Francesca.

W którymś momencie staliśmy z Millerem Thomase w świetle płomieni, sprawdzając, ile książek każdy z nas zdoła utrzymać. Wyprostowaliśmy ramiona, Elaine i Francesca układały nam książki na dłoniach, a my, mimo wielu prób, nie byliśmy w stanie zaliczyć tego sprawdzianu równowagi. Z czasem zresztą był to coraz bardziej sprawdzian siły. Nie wiem, kto wygrał. Cały czas kazaliśmy sobie dokładać książek, a nasze kobiety uzupełniały stosiki, więc po jakimś czasie większość księgozbioru Millera leżała wokół nas na podłodze. Nad kominkiem wisiało niewielkie płótno Marsdena Hartleya, jakiś szalony olejny pejzażyk w niemal samych błękitach, a ja powiedziałem, że to chyba niezbyt dobre miejsce, za blisko dymu, za blisko ognia, na taki drogi obraz. A był naprawdę mistrzowski, wnosząc z tego, co udało mi się dojrzeć w słabym świetle lamp i kominka, pośród walających się po całej podłodze książek... Miller się obraził. I mówi, że zapłacił za to arcydzieło, że ma je na własność i może je wieszać, gdzie mu się podoba. Podszedł do samych płomieni, zdjął obraz, a potem obrócił się w naszą stronę, trzymając go przed sobą i oświadczył, że mógłby nawet, gdyby miał taki kaprys, cisnąć go do kominka i tam zostawić.

– Czy to jest sztuka? Jasne. Ale wiecie co? – powiedział. – Stać mnie, żeby mieć ją na sztuki.

Wysunął obraz przed siebie, płasko jak tacę, pejzażem do góry, i zaczął kusić ogień, na zmianę wpychając płótno do kominka i je stamtąd wyciągając... A dziwne jest to, że parę lat wcześniej słyszałem niemal identyczną historię o Millerze Thomasie i jego ukochanym pejzażu Hartleya, o bardzo podobnym wieczorze, gdzie po drinkach, winie, brandy i kolejnej rundce, po hałaśliwych rozmowach i rozrzucaniu książek po pokoju Miller zaczął wkładać obraz w płomienie, mówić, że to jego własność i grozić, że go spali. Wtedy obecnym udało się przekonać Millera, żeby spuścił z tonu i odwiesił obraz na miejsce, ale tym razem – czemu? – żadne z nas nie znalazło słów, by się sprzeciwić, gdy Miller wsadził tę swoją własność w ogień, odwrócił się na pięcie i przeszedł na drugą stronę salonu. Czarny wykwit na płótnie rozrósł się w coś na kształt dymnej kałuży, z której zrodziły się drobniutkie płomyki. Miller zasiadł pod rozmigotanym oknem, żeby stamtąd, z drinkiem w ręku, przypatrywać się całej sprawie. Nikt nie odezwał się słowem, nikt nawet nie drgnął. Ciszę przerywały gromkie trzaski drewnianej ramy, a wspaniałe malowidło smażyło się w najlepsze, czerniejąc i koślawiejąc w coś szarego, trzepotliwego; chwilę później ogień miał je na własność.